

pałętały się rośliny w plastikowych donicach, jakby mało było zieleni na zewnątrz. Pomieszczenie przedzielał długi kontuar zastawiony przepelnionymi drucianymi koszyczkami na dokumenty, a każdy koszyczek oznaczony był jaskrawą naklejką. Za jednym z trzech znajdujących się za ladą biurka siedziała rudowłosa okularnica w fioletowym podkoszulku. Ten podkoszulek nieco zbił mnie z tropu.

Kobieta podniosła wzrok.

– W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Isabella Swan – oświadczyłam. Oczy sekretarki rozbłysły – najwyraźniej doskonale wiedziała, kim jestem. Z pewnością byłam już tematem plotek. Tak, tak, to ja, córka pana komendanta i jego narwanej byłej żony.

– Oczywiście, oczywiście. – Kobieta zaczęła grzebać w przeraźliwie wysokiej stercie papierzysk na swoim biurku, aż wreszcie znalazła to, czego szukała. – Mam tutaj twój plan lekcji i mapkę szkoły. – Z plikiem kartek w dłoni podeszła do kontuaru.

Wyjaśniła mi, jak przemieszczać się w ciągu dnia z klasy do klasy, pokazując najdogodniejsze trasy na mapce, i wręczyła arkusz, na którym miał się podpisać każdy z moich nauczycieli; musiałam go jej oddać po lekcjach. Pożegnała mnie z uśmiechem, podobnie jak Charlie, życząc mi powodzenia. Odwzajemniłam uśmiech, mając nadzieję, że wygląda przekonująco.

Gdy wróciłam do auta, zaczęli się już zjeżdżać inni uczniowie. Żeby trafić na parking, wystarczyło jechać za nimi. Na szczęście większość samochodów była równie sędziwa, co mój, zero szpanu. W Phoenix mieszkaliśmy w dzielnicy Paradisc Valley, gdzie należałyśmy z mamą do uboższej mniejszości. Pod szkołami nieraz widywało się nowiutkie mercedesy i porsche. Tu jednak najlepszym wozem było lśniące volvo i niewątpliwie się wyróżniało. Mimo wszystko, gdy tylko mogłam, wyłączyłam ryczący silnik, żeby nie zwracać na siebie zbytnej uwagi.

Zanim wysiadłam, przestudiowałam dokładnie mapkę z nadzieją, że nie będę musiała później obnosić się z nią cały dzień. Wsunęłam papiery do torby, zarzuciłam ją na ramię i znowu wzięłam głęboki oddech. Poradzisz sobie, szepnęłam do siebie bez przekonania. Nikt cię przecież nie ugryzie. Westchnęłam i wyslizgnęłam się z auta.

Idąc w stronę pełnego nastolatków chodnika, starałam się chować twarz w kapturze. Z ulgą zauważyłam, że w zwykłej czarnej kurtce nie odstaję zbyt wiele od reszty.

Minąwszy stołówkę, budynek łatwością zlokalizowałam budynek nr 3, w którym miałam mieć pierwszą lekcję: na jego narożniku, na białym tle wymalowano wielką czarną trójkę. Podeszłam do drzwi, dysząc niczym ofiara hiperwentylacji, ale postanowiłam wziąć się w garść i weszłam do środka śladem dwóch młodocianych osób bliżej nieokreślonej pici.

Klasa nie była duża. Para przede mną zatrzymała się tuż za progiem, żeby powiesić kurtki na zamocowanych w ścianie haczykach. Poszłam za ich przykładem. Okazało się, że to dwie dziewczyny – blondynka o porcelanowej cerze i blada szatynka. Przynajmniej jednym nie musiałam się wyróżniać.

Podeszłam do nauczyciela, żeby złożył podpis na moim arkuszu. Był to wysoki, łysiejący mężczyzna, niejaki Mason, jeśli wierzyć tabliczce na jego biurku. Gdy przeczytał moje nazwisko, przyjrzał mi się uważniej (nie było to zbyt miłe z jego strony), a ja oczywiście spłonęłam rumieńcem. Dzięki Bogu, kazał mi przynajmniej usiąść w pustej ławce z tyłu klasy, nie przedstawiając mnie najpierw wszystkim obecnym. Trudno im było gapić się na mnie, wykręcając